

# Obiecuję i przyrzekam?

Przeczytałem w niedawnej „PAUzie Akademickiej” 374 (2 marca 2017) piękny, dotyczący prozy życia tekst o poszukiwaniu naukowej prawdy (prawdy w nauce?), pióra Marii Korytowskiej pt. *Spondeo ac polliceor?*

Refleksja Autorki – opleciona na czcigodnych łacińskich słowach przysięgi doktorskiej – zaczyna się tytułowym pytaniem, rozszerzonym o ewangeliczną kwestię „Quid est veritas?”, kończy zaś wierszowanym listem Mickiewicza do Lelewela, ówczesnie największego naszego historiozofa, stanowiącym pochwałę tejże *veritas*. Chciałbym uzupełnić autorską refleksję – trochę przewrotnie posługując się jednak cudzymi przemyśleniami, a trochę prozaicznie, powołując się na doświadczenie osobiste (dwuznaczne „mędrca szkiełko i oko”).

„Co jest prawda?” – pyta u świętego Jana starosta Piłat nim zasiądzie przed ratuszem na stolicy sądowej (przekład ks. Wujka). Gdzie jej szukać – w wyroku sądu („gremia naukowe”), „stanie faktycznym” (wynik „naukowego badania”), w świadectwie współczesnych („autoritet”), a może „przed Bogiem i historią”, jak całkiem niegłupio mówiła nasza konstytucja, przyjęta przez mało demokratycznie wybrany sejm proceduralnym kruczkim na krótko przed ostatnią wojną? Tam przynajmniej poważnie traktuje się to, co dla naszego umysłu jest niewygodne, a więc „niemożliwe”.

Biedny nasz światopogląd często dyktuje oceny tyleż powierzchowne, co krytyczne. „Nic dziwnego (...). Na starość mózg wędnie i nie jest zdolny przyjmować nowych prawd...” – wyjaśniał młody student Rzeckiemu. Stary profesor Geist (Duch!) w paryskiej rozmowie z Wokulskim wypowiedział prawdę jeszcze bardziej pesymistyczną i uniwersalną:

W jakimś Altdorfie lub Neustadzie kacerzem i zdrajcą jest ten, kto nie wierzy w pastorów, Bismarcka, w dziesięcioro przykazań i konstytucję pruską. Tu wolno kpić z Bismarcka i konstytucji, ale za to pod grozą odszczepieństwa trzeba wierzyć w tabliczkę mnożenia, teorię ruchu falistego, w stałość ciężarów gatunkowych itd. Pokaż mi pan jedno miasto, w którym nie ściskano by sobie mózgow jakimiś dogmatami, a – zrobię je stolicą świata i kołębą przyszłej ludzkości...

I nieco starsze uzasadnienie tej prawdy:

A jako fakt przytoczę ci ustęp z Pisma świętego, co o tym mówi. Wówczas, gdy Pan Jezus przyszedł z uczniami swymi na górę i jął prawić do rzesz

zgrupowanych wokół niego, skorzystali z nieuwagi jego święty Mateusz i święty Łukasz. Poszli za wyłom skalny i jęli grać w kości. I podjął kości święty Łukasz, i wyrzucił oczek siedemnaście, co jest w tej grze liczbą wysoką. I podjął kości święty Mateusz i wyrzucił oczek osiemnaście, co jest w tej grze liczbą najwyższą. I jął szydzić święty Mateusz z niezgrabności świętego Łukasza. I zjawił się Pan Jezus, podjął kości i wyrzucił oczek dziewiętnaście. Na to rzekł święty Mateusz: „Panie Jezu, tylko bez cudów. My tu gramy o pieniądze” (kwestarz Makary do Jaśka na bramie w Tenczynie – cytata z: Tadeusz Kwiatkowski, *Siedem znacnych grzechów głównych*).

Autorka w swoim artykule napisała (z dezaprobatą jakby?): „Sam fakt zdobycia dużych pieniędzy już budzi nasz szacunek”. Potwierdzam!

Obronilem się na znanej dużej uczelni publicznej. Po formalnym ukończeniu „seminarium doktoranckiego” (zajęcia, zaliczenia, indeks), po otwarciu przewodu i oddaniu pracy doktorskiej okazało się, że jestem „obcy”, bowiem nie pracuję na uczelni i nie odbyłem „studium doktoranckiego” – istotna różnica. Uzyskałem później nawet grant na pracę, lecz nie obejmował on kosztów obrony, które stanowiły dla mnie ówczesnie sumę nieosiągalną (wielokrotność ostatniej pensji, zresztą byłem wtedy i tak bezrobotny). Pracę napisałem w ciągu trzech miesięcy. (Oho, pomyślicie, już wiadomo, o co chodzi. A tak, można ją przeczytać, została wydana drukiem i nawet fuksem dostała nagrodę). Od złożenia maszynopisu w dziekanacie do obrony minął – prawie równo – rok. Otóż po wielu turbacjach otrzymałem zgodę na płatność ratalną, która tyle właśnie miała potrwać (o, rodzinno, naprawdę tyś podstawową komórką społeczną!). Do momentu uiszczenia ostatniej raty uczelnia dyskretnie wykazywała brak zainteresowania tematem. Pół roku po obronie zadzwoniła do mnie miła sekretarka z pytaniem, czy przyjdę złożyć przysięgę i odebrać dyplom – przygotowano zbiorczą uroczystość. Chętnie wyraziłem zgodę, po czym okazało się, że należy uiścić na konto uczelni 100 zł. Był to warunek *sine qua non*. Uprzejmie odmówiłem, choć wtedy już było mnie stać, mogłem zresztą pożyczyć. Przyznaję: po roku zламаłem się – potrzebowałem papierowego dyplomu. Wpłaciłem oczekiwaną sumę na konto i z potwierdzeniem przelewu w ręku odebrałem u sekretarki wspaniałą płachtę, która cierpliwie cały czas czekała na mnie.

Przysięgi doktorskiej nie złożyłem.

JACEK ŻUREK